

Poeta, kolega z pracy, sąsiad

Rozmowa z Anną Legeżyńską

Uświadomiłam sobie, że jako krytyk literacki Barańczak potrafił świetnie, dogłębnie rozpoznawać istotę warsztatu twórcy, którym się zajmował.

I nie przeszkadzała mu w tym jego własna twórczość artystyczna.

Nie, wręcz przeciwnie. Mimo wielkiej oryginalności jego poezji i eseistyki był twórcą i krytykiem niezwykle chłonnym, wiele czerpiącym z artystów, którymi się zajmował. Najbardziej to widać – o czym wszyscy wiemy – gdy przyjrzeć się temu, ile zawdzięczał angielskim poetom metafizycznym XVII wieku, których przekładał. Podobnie było w przypadku poezji Mandelstama, którego również tłumaczył (inna sprawa, że były to przekłady przepuszczone przez doświadczenia osobiste Barańczaka i przeżycia polityczne naszych czasów). Oczywiście miał też na sumieniu inne teksty. Na przykład wczesny pamflet na twórczość Iłakowiczówny, który wywołał spore poruszenie w poznańskim środowisku, a także wystąpienie poznańskiego prozaika Przemysława Bystrzyckiego, stażącego w obronie poezji.

Kiedy poznałaś Barańczaka?

Pamiętam to dokładnie. Rozpoczyłam studia w 1969 roku, czyli rok po Marcu '68. Przyjechałam ze Szczecina, a więc z miasta, w którym wydarzenia marcowe miały inny przebieg niż w Poznaniu. Były chyba silniej ideologicznie kontrolowane przez władzę. Jako młoda osoba, politycznie bardzo słabo zorientowana (choć też nie zdezorientowana), słyszałam co jakiś czas od moich kolegów ze studiów, literacko bardziej obeznych: „O! Idzie Barańczak, idzie Barańczak!”. Widziałam, że idzie bardzo przystojny, młody człowiek, któremu zazwyczaj towarzyszyła śliczna kobieta, Ania Barańczakowa. Dokładnie pamiętam, jak wyglądali. To była zima, mieli kożuszki – Ania długi, Staszek krótki – i do tego twarzowe szale. To było już lekkie wyjście poza normę ówczesnej mody. Zwykle trzymali się za ręce. I szeptano, że to jest „ten” Barańczak, ten poeta. Nie czytałam wtedy jego utworów, szkolna edukacja kończyła się na Różewiczu...

Miałaś z nim zajęcia?

Na pierwszym roku mieliśmy zajęcia z analizy literackiej, które w każdym semestrze prowadził kto inny. Moja grupa w semestrze zimowym miała analizę ze Staszkiem, w semestrze letnim z Zosią Trojanowiczową. Obszarem zainteresowania była na tych zajęciach literatura XX wieku, otwierana przez prowadzących różnymi kluczami. Trafiłam na zajęcia do Barańczaka i powiem coś heretyckiego: on nie był dobrym dydaktykiem. Oczywiście bardzo wiele się korzystało z jego obecności, ale przypuszczam, że nie robił żadnych scenariuszy ćwiczeń. Myślę, że dostosowywał swoje zajęcia – co jest mi bardzo bliskie – do publiczności, z którą się stykał. Jeśli miał z kim rozmawiać, to rozmawiał. Nie był jednak ekspansywny, nie monologował. Jak się później zorientowałam, podrzucił problemy, które go w danym czasie zajmowały. Kończył wtedy swój doktorat o Białoszewskim i przez prawie cały semestr zajmowaliśmy się twórczością tego autora. Oczywiście nie tylko – analizowaliśmy na przykład *Dekameron* Boccaccia. Pamiętam te zajęcia jako

takie, na których on był. Mruczał w brodę. Był wobec wszystkich bardzo uprzejmy, delikatny. Tylko gdy pisał, gdy stukał na maszynie, potrafił być nawet lekko agresywny. Nigdy nie byłam jednak świadkiem jego zachowań, które wykraczałyby poza kindersztubę, jaką pewnie wyniósł z domu.

Jak poznaliście się bliżej?

Do bliższego poznania doszło, gdy zostałam zatrudniona na polonistycę. Musiałam się urządzić w Poznaniu. Pokój (służbówkę) wynajęły mi dwie starsze panie (spokrewnione zresztą ze Strugiem), zajmujące mieszkanie w kamienicy na rogu Kościuszki i Libelta. Przed wojną znajdowały się tam duże mieszkania profesorskie. Barańczaków miałam więc za sąsiadów z tej samej ulicy. Mieli już wówczas dziecko – małego Michała. Mieszkali przy Kościuszki razem z panią Zofią Barańczakową, która prowadziła w tym mieszkaniu gabinet dentystyczny. Przeszli przezeń wszyscy wasi starsi koledzy, lecząc swoje zęby. Ania i Staszek często mnie zapraszali jako sąsiadkę i koleżankę z zakładu, na przykład na kolację.

Co serwowano?

Potrawy, które dziś mogą się wydać mało atrakcyjne, a wówczas ich przygotowanie wymagało niemałych zabiegów. Ania podawała na przykład tatara, co oznaczało, że trzeba było najpierw zdobyć jakieś dobre mięso. Piekła ciasto, podawała jakąś sałatkę. Dobrze pamiętam to mieszkanie. Bardzo ciasne. Nie wiem, jak oni sobie tam radzili. Wchodziło się do małego korytarza, który był zarazem dentystyczną poczekalnią. Z prawej strony była malusieńka kuchnia, w której Ania się zamykała i pichciła, a za tymi drzwiami siedzieli pacjenci. Za następnymi drzwiami pani Zofia ich przyjmowała. Na wprost wchodziło się do pokoju Ani i Staszka, a z tego do następnego, w którym spał maluch. W ich pokoju pod oknem suszyły się koszule, pieluchy (bo wtedy się je prało). Było dużo książek, a przy jednej ze ścian składany stół, żeby było więcej miejsca.

O czym rozmawialiście?

Tematy były różne. Ania i Staszek pomagali mi na przykład zrozumieć miejsce, w którym się znalazłam na polonistycę. Byli łącznikiem z szefem, profesorem Ziomkiem, który siedział po drugiej stronie biurka w instytucie, i owszem, wprowadzał w wielki świat nauki, ale na przykład nie zastanawiał się nad sytuacją bytową młodego asystenta. Natomiast Staszek i Ania dopytywali, jak mieszkam, czy mam co jeść. Często rozmawialiśmy o literaturze. Nie przypominam sobie już dokładnie, o czym, ale pamiętam, że zawsze wracałam z jakimiś książkami, które Staszek mi pożyczał. I to już był samizdat. Chętnie podsuwał różne rzeczy. Najpierw otrzymałam od niego powieści Aleksandra Solżenicyna – *Pierwszy krąg* i *Archipelag GULag*. Po lekturze byłam zupełnie osłupiała, że jest taki świat... Książki, które Staszek podsuwał, miały dla mnie sens formacyjny. *Zniewolony umysł* Miłosza, Orwell i jego *1984*. Później *Kościół, lewica, dialog czy Z dziejów honoru w Polsce* Michnika.

Kim był dla Ciebie Barańczak, gdy już podjęłaś pracę na polonistycę?

Starszym kolegą z Zakładu Teorii Literatury Jerzego Ziomka. To był mały, elitarny wówczas zakład. Świeżo utworzony, do którego profesor Ziomek zaprosił osoby wedle klucza intelektualnego, ale nie tylko. Ciągłe odkrywam świadomy zamysł Jerzego, który budował pewną wspólnotę naukową i towarzyską. Były liczne zebrania, a także cotygodniowe dyżury, tak

zwane posiaady. Dyżur instytutowy zaczynało się od pokoju Jerzego, u którego zawsze ktoś był. Poza tym mieliśmy pewien obowiązek, który dla Staszka musiał być bardzo miły: otóż z racji niewielkiej liczby pracowników w bibliotece instytutu musieliśmy odbywać sobotnio-niedzielne dyżury. Ania i Staszek regularnie bywali też na zebraniach zakładu. Ania – gdy wypadała na nią kolej – piekla ciasto. Słyszała z tego, że prowadzi świetną kuchnię. Staszek był na tych zebraniach na ogół milczący. Bardzo uważnie słuchał. Nie przeszkadzało mu to uczestniczyć w zabawie naszych starszych kolegów, która polegała na tym, że prowadzący zebranie Jerzy Ziomek wymyślał jakiś motyw, który zapisywał (piórem, koniecznie piórem) na małej karteczce i puszczał dalej. I Marek Hendrykowski, następnie Staszek Barańczak, dalej Edward Balcerzan (pamiętam, że w tej kolejności siedzieli) dopisywali kolejne wersy i powstawała z tego literatura ludyczna: gry pólśłówek, hasła, bajki. Wiedziałam też od Ani, że ulubionym zajęciem Staszka z małym Michałem było wspólne rymowanie... On miał więc stałą i naturalną potrzebę bawienia się słowem, także w codziennych sytuacjach. Na zebraniach wyglądało to tak, że karteczka krążyła, a Staszek w pewnym momencie wybuchał gromkim śmiechem. Wtedy najmłodszy z zakładu (ja, Wojtek Wielopolski, Ryszard Przybylski), którzy nie brali udziału w zabawie z powodu braku weny, nie bardzo wiedzieli, o co chodzi.

Często zabierał głos podczas zakładowych spotkań?

Niezbyt często, lecz gdy mówił, były to rzeczy bardzo ważne. Na przykład z racji swoich anglojęzycznych lektur to właśnie Staszek na jednym z zebrań w latach 70. zreferował nam problematykę gorących mediów i tezy McLuhana. Prezentował nam także swoją koncepcję odbiorcy ubezwłasnowolnionego, w związku z pisaną wówczas książką o kulturze popularnej PRL-u. Miał już za sobą obronę doktoratu. Pamiętam także polemikę Staszka z koncepcją strategii lirycznych Balcerzana, prezentowaną na zebraniu, czy też dyskusję o teorii wiersza.

Ile wiedziałaś o jego opozycyjnej aktywności?

Początkowo nie miałam pojęcia o skali zaangażowania Barańczaka w życie pozaakademickie. Myślałam, że byliśmy w zakładzie w pewnym sensie świadkami politycznego dojrzewania Staszka, choć nie wiem, kiedy dokładnie poznał Kuronia czy Michnika. Pamiętam nasz wyjazd na konferencję do Puław. W tym czasie, w roku 1976, powstawał słynny „Memoriał 101” (protest przeciw wpisaniu w konstytucję ustępu o sojuszu z ZSRR i o przywódczej roli PZPR). Na konferencji był Staszek, ale także Jan Józef Lipski. Zaczynał się już pewien ferment polityczny i Staszek był w to coraz mocniej zaangażowany. Sprawy zaczęły się komplikować po niefortunnej próbie zakupu domu w Puszczykowie. Zawieszono go w pracy, wytoczono proces. Jerzy Ziomek podjął się roli obrońcy (honorowego), podkreślał osiągnięcia naukowe Staszka. Mimo to zwolniono go dyscyplinarnie, nie przychodził do pracy. Spotykałam się jednak z Anią, która nadal pracowała. Pytałam, co u nich słychać. A oni się wtedy przeprowadzili. Tak się ułożyło, że po tej aferze łapówkowej dostali mieszkanie w blokach na osiedlu Kopernika, na które wtedy długo się czekało. To było mieszkanie – w którym rozgrywa się *Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu* – obudowane podsłuchami, umeblowane „dyktą, sklejką”, lecz jednak mimo wszystko miłe i dla wszystkich gościnne. Odwiedzaliśmy ich w tym domu. Byliśmy przejęci sytuacją, martwiłiśmy się, z czego żyją. Pamiętam, że to wtedy jedna z naszych koleżanek po prostu przekazała im część swojej pensji... Staszek był bez pracy i zajmował się domem, ale przede wszystkim pisał, tłumaczył.

Jak oni sobie z tym radzili? Bali się?

Pytałam o to Anię, gdy była w ciąży z drugim dzieckiem (córką Anią), a Staszek uczestniczył między innymi w warszawskiej głodówce w 1977 roku. Odpowiedziała, że nie, bo nie jest sama, czuje wsparcie ze strony innych żon opozycjonistów... A ponadto – mówiła – Zachód rozumiał znaczenie opozycji w PRL-u, więc gdyby coś poważnego komuś z głównych działaczy się stało, to na pewno zareaguje. Ta rozmowa mi uświadomiła, jak mocno Staszek wszedł w podziemne struktury. A Ania stworzyła mu w domu bezpieczną niszę, dzięki której mógł funkcjonować jako działacz opozycyjny, ale także jako poeta.

Jak wyglądało pożegnanie Barańczaków, którzy wyjeżdżali na Uniwersytet Harvarda?

W dawnej polonistycznej bibliotece w Collegium Novum stali razem – Ania i Staszek. Dokładnie pamiętam, jak była ubrana. Spódnica (zazwyczaj chodziła w spodniach) i przesłiczny sweter, który sama zrobiła z dobrej peweksowskiej wełny. Dlatego tak to zapamiętałam [*śmiech*]. Podchodziliśmy do nich z życzeniami i słowami pożegnań. Bardzo długa kolejka. Ania mówiła, że tylu ludzi nawet na ich ślubie nie było...

29 stycznia 2015 roku, Collegium Maius, Poznań.